Rok 1939 11 czerwca Nr. 24

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ



W procesji Bożego Ciała dziewczątka w swych ślicznych strojach ziemi łowickiej, w pasy żółte, pomarańczowe, czerwone, zielone, od których aż bije niby łuna.

Padł promyk słonka

Padł promyk słonka
z chmurnego nieba;
w piosnce skowronka
ożyła gleba:

runi się łączka,
światеczek wszystek —
z drzewiny pączka
wygląda listek;

jak sięgnie oko —
po całym świecie
barwną powłoką
ściele się kwiecie!...

Na skrzydłach pieśni,
co żałość gasi,
wracają leśni
śpiewacy nasi!...

Wszystko się budzi
w świtek radosny!
i serca ludzi
pełne są wiosny!...

E. K.

Pogadanka o listach czytelników

Redaktorka „Dzwoneczka“, jak już zapowiedziała — porusza raz jeszcze sprawę konkursu. A bardzo dużo byłoby o tym do pisania. Właściwie należałoby każdy list z osobna omówić z tą osobą, która go pisała. Ale to zabrałoby za wiele czasu i miejsca, zatem trzeba tylko ogólnie sprawę załatwić.

A więc przede wszystkim błędy. Oj, było tego pod dostatkiem, tak iż „Dzwoneczek“ omal nie rozjęczał się, jak na alarm, zwłaszcza gdy błędy te pochodziły od uczniów z wyższych już klas, nie od tych, co to nieboraczki nie miały jeszcze kiedy nauczyć się i zapamiętać sobie, czy pisze się krul, czy

król, skura czy skóra, siudmy czy siódmy, usmy czy ósmy i t. d.

Wiadomo, że sprawa **u** prostego czy **ó** z kreską, jest dla wszystkich pokoleń szkolarzy twardym orzechem do zgryzienia, a jednak polskie dziecko w polskiej szkole musi nauczyć się pisać w swoim języku poprawnie.

Innym konkursistom znowu wypadła z główki reguła, że wszystkie imiona własne pisze się dużą literą. A więc: nie polska, tylko Polska, Wisła, Wawel, Krak i t. d. Ktoś inny nie może sobie poradzić z **ch** i **h**. Pisze zatem bochater, chistoria, zamiast bohater, historia. Ktoś nie odróżnia **ż** od **rz** — i pisze dżewo, zamiast drzewo, a wystarczyłoby sobie przypomnieć inne słowa pokrewne: drewno, drewniany, w których jest właśnie to **r**, jakie się niekiedy zmiękcza i zmienia się na rz.

Prawie wszystkim nie wydawał się koniec smoka zbyt straszny, bo pisali, że on pęk. „Dzwoneczek" powinien się tedy zapytać, w jaki pęk zamienił się ten smok wawelski, w pęk kluczy np. czy może w pęk kwiatków pachnących, gdy tymczasem smok naprawdę **pękł**. Widocznie znał on dobrze gramatykę i wiedział, że czasownik w trzeciej osobie czasu przeszłego, liczby pojedynczej w rodzaju męskim, ma końcówkę **ł**, i dlatego nie pęk tylko pękł.

Kilku korespondentów było takich, którzy każde zdanie o nowym obrazku zaczynali słowami: Obrazek I przedstawia, obrazek II przedstawia i tak aż do ostatniego. A co by było, gdyby rysownik dał do tej smoczej legendy nie 10, lecz 100 obrazków?

Podobnie zmęczyłby się, kto zaczynał każde zdanie słowami: Na pierwszym obrazku zauważyłem, na drugim obrazku zauważyłem, i t. d., znowu 10, czy 100 razy.

W takich razach wystarczy powiedzieć to tylko raz przy pierwszym, a mówiąc o następnych, dawać cyfrę.

Ktoś inny napisał, że smokowi musiano dawać „człowieka do zjedzenia, bo jeśli nie dostał, mścił się w straszny sposób". Przecież mieszkańcy Krakowa nie byli dzikimi poganami, którzyby sobie wyobrażali, że ten smok to jakiś okrutny bożek, któremu trzeba składać ofiary z ludzi dla przebłagania.

W jednym liście czytamy: „Smok siedzie pod Wawelęm w swej jamie, z której wychodzi". Z tego widać, że smok musiał umieć różne sztuczki jak np. jednocześnie siedzieć i chodzić. Nawiasem dodamy, że mówi się: siedzi (nie siedzie), pod Wawelem (nie Wawelęm).

Gdzie indziej czytamy, że „rycerze podchodzili pod jamę i wzywali smoka do pojedynku. Smok nie rozumiejący słów, wypadał z jamy" i t. d. Przecież trudno, by smok rozumiał, że chcą z nim walczyć tak po rycersku, iż rzucają mu wezwanie do spotkania się. A rycerze znowu dobrze zdawali sobie sprawę, że mają do czynienia ze zwierzęciem i to w dodatku z dzikim, nie mogli zatem traktować go jako istotę myślącą i do niego przemawiać.

Dużo jeszcze można by pisać na temat „konkursu", ale trzeba na tym poprzestać, tym bardziej, że jeszcze w przyszłym numerze musimy poruszyć inną rzecz bardzo ważną.

Mimo wszystkich usterek, błędów, niedomagań, „Dzwoneczek jednak bardzo się cieszy, że tak liczne grono jego czytelników zachęciła do pisania obietnica otrzymania książki. Świadczy to o wielkim zamiłowaniu do czytania, o pragnieniu dowiedzenia się czegoś, o chęci zdobycia wiedzy. Jakże to dobrze i pięknie mówi o polskiej młodzieży!.

A już najbardziej wzruszyły nas przesyłki z odległych wiosek, gdzie nie ma poczty i skąd — aby wysłać list, trzeba iść kilka kilometrów do najbliższego urzędu pocztowego, a jeszcze gorzej, gdy nie ma na opłacenie przesyłki dostatecznej liczby groszy...

Tym wszystkim — nie zważając na liczne braki w wypracowaniach, „Dzwoneczek" najserdeczniejsze zasyła pozdrowienia i życzy, by nad ich wioskami i chatami rozbłysło jeszcze jaśniej promienne słońce oświaty.

ŁOŚ i KTOŚ

Był raz chłop, zwał się Ktoś, a zaś w lesie mieszkał łoś.

Oj u Ktosia w chacie bieda, nędza, pustki, szaro wszędzie — w chlewie, w chacie i w stodole, pająk w kącie ściany przędzie.

Żona nie ma na grzbiet chustki... Zapłakana woła w gniewie:

— Mąż nic nie dba i nic nie wie! Cóż za człowiek, co za chłop! Co to będzie!

Żyto koś marchew kop, bo pogniło już na grzędzie!

Ktoś jej na to: Nie mam czasu, idę sobie.

— Gdzie?

— Do lasu.

Krzyczy żona z gniewu chora:

— Przecie byłeś w lesie wczora, byłeś w piątek i w sobotę. Zostań w domu masz robotę. Oj nie złowisz nigdy łosia!

— Nie obrażaj żono Ktosia! przestań krzyczeć, przestań kląć, weź dwa sierpy i idź żąć!

Łoś przede mną się nie skryje — odnajdę go i zabiję.

Mięso zjemy, skórę złupię, sprzedam i słoniny kupię. Tobie chustkę — to też coś — albo Łoś albo Ktoś.

Rano wczas poszedł w las, zabrał wór, długi sznur, strzelbę wziął, szedł i kłął:

— To nie dobrze, to mnie gniewa! Gdzie się też ten łoś podziewa?

Szukam wszędzie... po jałowcach, po tarninach, tu go nie ma, tam go nie ma.

Chodzi sobie Ktoś po lesie, pod stopami trawa gnie się. Od gęstwiny do gęstwiny chodzi, chodzi trzy godziny.

Siedzi ptaszek na sosence, kręci główką w przód i w tył, opowiada coś w piosence, opowiada z całych sił:

— Łoś przed chwilą tędy gnał, rogi prosto w górę miał.

Ktoś zrozumiał ptaszka gwarę i odetchnął minut parę, potem w gąszcze się przedzierał, o gałązki kożuch zdzierał.

— Jak mnie ten zwierz podły zwodzi i ucieka tak, jak złodziej.

Szukał łosia cały dzień, aż zmęczony legnął w cień pod sosenką rozrzucony.

Położył się Ktoś w parowie, strzelbę obok, wór na głowie, z boku sznur, usnął, chrapie.

Na sosence siedzi ptaszę, kręci główką w przód i w tył:

— I cień nasz i drzewo nasze, zmykaj chłopie z całych sił.

Szpilki sosny oburzone że ktoś głośno chrapie w dzień, podnoszą się w prawą stronę i wołają leń — ktoś — leń.

Na sosence siedzi ptaszę, woła głośno, woła coś:

— Idzie ciężki zwierz na paszę, zmykaj chłopie, idzie łoś!

Ktoś nie słyszy, mocno chrapie, łoś już nad nim zbliska sapie, skopał strzelbę, stargał sznur, rogiem nad nim długo kręci...

— Kto tu śpi tak bez pamięci, chłop czy wór?

Długo podziw trzymał zwierza, kiwał głową nie dowierzał.

Ktoś przez sen wąsiska srożył, łoś w bok skoczył tak się strwożył, potem chcąc pozostać zuchem, zwalił się nad Ktosiem brzuchem. Niby góra nakrył Ktosia.

Ktoś się zbudził, poznał łosia, choć był śpiący.

Leżał drżący pełen trwogi, skurczył ręce, skurczył nogi, twarz zbielała mu jak chusta, a zsiniałe Ktosia usta, szeptały gorąco, szczerze wszystkie różańce, pacierze.

Zwierz rozmyślał swoje sprawy, leżał sobie do wieczora, potem wstał, poszedł do bora.

Ktoś stłuczony i kulawy wrócił do wsi przerażony. Teraz dobry jest dla żony, w polu orze, żyto zbiera, dobytku nie poniewiera.

Stanisława Nowakówna.

Patrol Lwów

wieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.
Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy).

Mówiło wszystko czworo prawie naraz, więc Zawisza tylko słuchał i czekał, kiedy mu dadzą przyjść do słowa, gdy wtem padły pierwsze krople deszczu. Pisk nagły zerwał się z wózka, trzy panny w zamieszaniu otwierały parasolki kolorowe, rozpaczając głośno, a woźnica cofnął konie sprzed bariery i skręcił pod rozłożyste drzewa.

— Niechże panie pozwolą do nas — odezwał się Zawisza — zanosi się na większy deszcz i najprzezorniej będzie skorzystać z naszego schroniska.

— Z jakiego schroniska?

— Jakto „do nas"... dokąd, gdzie?

— Zaraz panie zobaczą, tylko proszę się śpieszyć. Władku, pomagaj siostrom wysiadać, bo panie pomokną.

W postawie wyczekującej, w szyku rozrzuconym zastęp Lwów przed szałasami przyglądał się gonitwie przez majdan czworga gości przyprowadzonych przez naczelnika zastępu. Przodem biegły dwie szczupłe, piętnastoletnie, śniade szatynki, wzrostu średniego, w jednakowych sukienkach bladożółtych, w ogromnych kapeluszach z ciemnej słomki, obwiedzionych rumianami, a pod parasolkami z odcieniem pomarańczowym.

Za nimi — mając z boku Zawiszę, brat bliźniaczek wiódł krokiem tanecznym starszą o parę lat od siostrzyczek, rudowłosą, piękną kuzynkę, o drobnej twarzy przeźroczysto-białej, której cera jasna odbijała się silnie od jego niezwykłej śniadości.

Panna była nadzwyczajnie strojna i modna. Suknia eterycznie błękitna zlewała się w jedno z ogromnym woalem-szalem z mieniącego się jedwabiu. Drobna główka ginęła pod ogromnym kapeluszem białym, przybranym welonem w barwie bławatów.

Nad nią fruwała w wysoko wzniesionej ręce niższego kuzynka, zielona parasolka, po której dzwoniły pierwsze krople nowej ulewy.

— Wicia, poznajesz, skauci...

— Wacia, patrz, obóz...

— Ależ, jak babcię kocham, prawdziwy obóz skautów.

Za chwilę goście znaleźli się w dostatecznym przed deszczem schronieniu: w przestronnym baraku, zbudowanym z desek sosnowych na południowej szkarpie węglowego wzgórza.

Wszelkie dziury w dachu, niebezpieczne z powodu ciągłych deszczów, pozatykane były szczelnie mchem, rozrobionym z gliną. Cztery skrzydła zbytecznych w grzybowskim dworze okien tworzyły tu jedno ogromne okno „weneckie". W otworze, na wchód przeznaczonym, od południa, wprost na wewnętrzny placyk obozowy, miała wisieć w razie potrzeby duża płachta, od paru dni jednak zawieszono tam matę własnej, takiej samej roboty, jak i łóżka w szałasach, co już i przed najgorszą ulewą broniło wnętrza dziennego schroniska Lwów.

Stał tam ogromny stół na trzech tęgich nogach w pośrodku, obok ciągnęły się długie ławy, szerokie półki dźwigały pod jedną ścianą mnóstwo rozmaitych rzeczy, które mogły pozostać odkryte w przeciwieństwie do innych, wymagających zamknięcia szczelnego, i te mieściły się częścią w skrzyni z wiekiem zasuwanym, w kącie baraku, częścią zaś w długiej pace o kilkanaście kroków dalej, wewnątrz użytego na piwnicę, nierozebranego jeszcze pieca ceglanego. (C. d. n.)

SZARADA.

Pierwsze wspak — imię niewiasty w biblii [wspominane.
Drugie-trzecie — to ptaki dobrze u nas [znane.
Gdy **pierwsze wprost** weźmiemy, będzie [zwierz niemały.
Całość — też ptaki, w lesie słyszeć nam się [dały.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI Z NR. 18.

K w K = Kawka.

ROZWIĄZANIE FIGLIKÓW Z NR. 19.

Kwie-**cień**, **krom**-ka, ka-**wałek**, fan-**fara**, **rum**-barbar, G-**dynia**, **para**-sol.